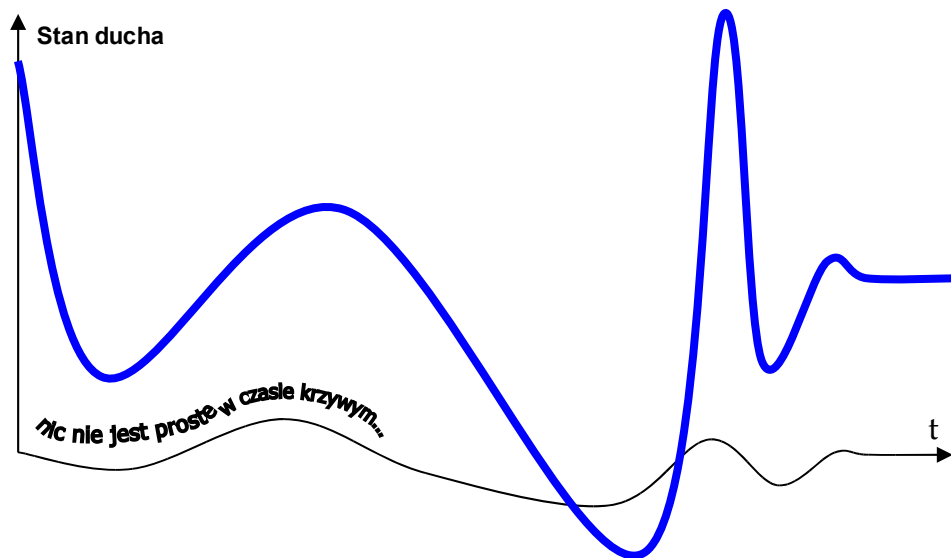


Stan Ducha

*Koledzy. Nie rzucajmy kamieniami.
Słowa są cięższe od kamieni.
Piszmy!*



Krótkie opowiadania, rozpoczynające ten tom, wychodziły w latach 1982-83 w „Stanie Ducha” – młodzieżowym dodatku literackim biuletynu „Manifestacja Gliwicka”. Ówczesni licealiści urodzili się za późno, by zdążyć na Karnawał swoich starszych braci i Panny „S”, ale w stanie wojennym nie spóźnili się na manifestację Trzeciomajową. Uczestniczyli też aktywnie w drugiej demonstracji (31 sierpnia 1982) i w innych tańcach i koncertach. To były formujące, najważniejsze przeżycia zbiorowe całego pokolenia. Pozostają w tle naszych opowieści.

„Stan Ducha”, publikowany na gorąco dwa tygodnie po każdej awanturze, musiał być na powierzchni faktów lekko zaszyfrowany, by nie dekonspirować opisywanych postaci. Dopiero po trzech dekadach, podczas pracy nad hasłami dla Encyklopedii Solidarności wolno było złamać główne kody. Suche biografie encyklopedyczne nie pomieściły jednak całej archeologii stanów ducha, które – dobywane warstwa po warstwie – wypełnią dalsze części książki. Wiele barwnych kamyczków znamy już z innych wykopalisk i układamy w różne mozaiki. Jedne są piękne, inne zabawne, tamte znów naiwne; wszystkie będą na swój sposób ważne.

Każdy obiekt, każde zdarzenie możemy obserwować gołym okiem, przez mikroskop lub przez teleskop. Otrzymamy obrazy prawdziwe, choć jakby inne. Stan rzeczy dokumentuje się zazwyczaj chłodno i z dystansu: encyklopedycznie¹ i² naukowo³, a stan ducha żarliwie i natychmiast: wierszem⁴ i prozą⁵. Dziś, czytając to przez pryzmat ówczesnej wrażliwości, odkrywamy różne stany skupienia prawdy o epoce własnych czołgów na własnych ulicach.

[Andrzej Jarczewski](#)

*Stawiamy poprzeczkę powyżej talentów.
Tam – jeśli nie dzieło – niech zamiar doleci!*

Sinus

Najbardziej baliśmy się Sinusa. Przychodził zawsze piętnaście sekund po dzwonku. Odległość z pokoju nauczycielskiego do naszej klasy mierzył nie w metrach, lecz w sekundach i nie mylił się nigdy. Tym razem Sinus się spóźnił. Siedzieliśmy zadowoleni; nareszcie i jego stoperek nawalił! Po chwili nastrój poprawił się do tego stopnia, że zaczęliśmy rozrabiać prawie normalnie, a strach przed zapowiedzianą klasówką wyparował gdzieś pod sufit. W drugiej minucie było już pewne, że coś musiało się stać i Sinus w ogóle nie przyjdzie. Może się trafi jakieś niegroźne zastępstwo?

I rzeczywiście. Po kwadransie, zgodnie ze swoją maksymą: *piękne Polki przychodzą ostatnie* – w drzwiach z tyłu klasy pojawiła się Bona w całej okazałości. Odetchnęliśmy. Z historii prawie wszyscy mieli piątki, bo pytała na każdej lekcji kolejnych dwóch według dziennika i zawsze było wiadomo kto, kiedy, które pół rozdziału musi umieć na pamięć. Poza podręcznik nie wychodziło się nigdy. Bona z wdziękiem przeciskała się między stolikami, a my powoli zabieraliśmy się do gry w okręty. Ale nie... Do klasy wszedł jakiś majorek, zaraz za nim dyro, czyli znowu lekcja wychowania „obywatelskiego”? Procesję zamykał sarmacki wąs Sinusa.

Zagał dyro w słowach wielce podniosłych, Bona przydawała majestatu na krześle, a Sinus, zgarbiony jak pół logarytmu, stał ponury pod oknem. Majorek streścił parę dzienników, potępił Trzeciomajowe manifestacje, przejechał się po ekstremie, zganił i pochwalił, zaciemnił i wyjaśnił, aż w końcu

zaczął opowiadać o luksusie, w jaki opływają kuracjusze miejsc odosobnienia. Przechadzając się po klasie między rzędami, major perorował z takim zapałem, że nie zauważył, jak z drugiej ławki wysunęła się Hanka Hoczyk, podeszła szybko do tablicy i napisała: PAN MAJOR... KŁAMIE? Wróciła na miejsce, ale zaraz dopadł ją dyrektor.

– Co to znaczy! Zetrzyj to natychmiast!!

Hanka stała, patrząc w podłogę. Chciała coś powiedzieć i nie mogła wydobyć głosu. Dyrektor, posiniały z wściekłości, krzyczał w kółko.

– Zetrzyj to zaraz, bo wezwę rodziców! To jest obraza polskiego wojska!!

Bona siedziała z otwartymi ustami, Sinus nerwowo gryzł wąsa, dyrektor wrzeszczał i machał rękami, a Hanka stała coraz blejsza. Pierwszy oprzytomniał major, dobrze widać zaprawiony w bojach z uczniami. Przysunął się do Hanki i powiedział słodko.

– Zetrzyj to, panienko, polski oficer nigdy nie kłamie.

Dyrektor odstąpił na chwilę i czekał w napięciu. Majorowi rzedł niepewny uśmiezek, cisza stawała się coraz cięższa. Nie spodziewanie z czwartej ławki wstał Jurek Lesznicki i zapytał spokojnie.

– Czy pan major był w jakimś obozie dla internowanych?

Oficerek zrobił niewyraźną minę, a Jurek, nie czekając, wyjaśnił.

– Ojciec naszej koleżanki był w więzieniu w Zaborzu. Obecnie jest w szpitalu. Ona wie dobrze, jak tam wygląda naprawdę.

Dyrektor rozjuszył się nie na żarty.

- Siadaj gówniarzu! - I zaraz do Hanki:
 - Zetrzesz to, albo wywalę cię ze szkoły na zbity pysk!
- Ale ona stała, jak wmurowana.
- Wynocha!!!

Nie poskutkowało. Dyrektor szalał. Wydawało się, że porwie ją zaraz za włosy i wywlecze z klasy. W tym momencie Jurek wyszedł z ławki i powiedział dobitnie:

- Chodźmy, Aniu, pan dyrektor wyrzuca nas ze szkoły.

Widać było, jak Hanka mocuje się z sobą. Bała się ruszyć, by nie wypłynęły łzy, które już w nadmiarze cisnęły się do oczu. Wszyscy trwali w bezruchu dłuższą chwilę, tylko Sinus pod oknem drgnął i zaczął zbliżać się do tych dwojga krokami tak powolnymi, jakby odmierzał nie metry, lecz godziny. Wstrzymaliśmy oddech. Sinus stanął nad nimi, wyprostował się jakoś sztucznie i głosem, którego nikt z jego srogich ust jeszcze nie słyszał, powiedział:

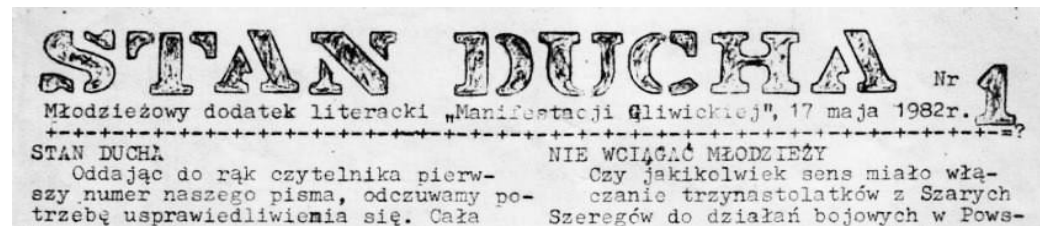
- Chodźmy, dzieci. Pan dyrektor usuwa nas ze szkoły.

Hanka przestała panować nad sobą. Wybiegła z klasy, zostawiając książki na ławce. Jurek dogonił ją dopiero za drzwiami. Tylko Sinus szedł między rzędami powoli, odmierzając starannie swoje ostatnie metry w naszej szkole. Gdy przechodził obok mnie, wyprostowany, z oczyma utkwionymi w przestrzeń, wstałem bezwiednie, jakby to był nie nauczyciel, lecz kapłan, wracający od ołtarza... Rozejrzałem się po klasie - stali wszyscy. I wszyscy wyszli za nim tak, jak wychodzi się po słowach:

- Idźcie, oto ofiara spełniona.

Sam

„Stan Ducha” nr 1, 17 maja 1982



Drobny incydent

Po groteskowych nieprzyjemnościach przywrócono Hance prawa uczniowskie. Jurka, który jest olimpijczykiem i chlubą szkoły, nikt się specjalnie nie czepiał. Skrupiło się na Sinusie. Szczegółów nie poznaliśmy nigdy; tylko to, że wyrzucono go z wilczym biletem. W parę dni później postanowiliśmy odwiedzić człowieka, który był Nauczycielem nie tylko matematyki.

Stawiła się cała klasa, każdy z jakimś kwiatkiem. Tylko zamiast Hanki przyszedł z nami jej brat, Robert. Rodzeństwo, wraz ze starszą siostrą Kariną, na trzy zmiany dyżurowało wówczas przy chorym ojcu, bo matka jeszcze przed stanem wojennym wyjechała do Monachium, współpracowała z „Wolną Europą” i - wobec nieuchronnego aresztowania - nie mogła wrócić.

Z początku było jakoś niezręcznie. Jeszcze klasa nie wyzbyła się respektu przed Sinusem, a już darzyliśmy go zupełnie innymi uczuciami. Usiedliśmy ciasno na podłodze, posypały się setki gorączkowych pytań.

- Dlaczego Pan Profesor to zrobił? Gdzie Pan będzie pracować? Jak? Co? Dlaczego? Czy to prawda, że...?

Po tej konferencji prasowej zaśpiewaliśmy przy gitarze kilka rzeczy z nowego repertuaru, Sinus przygrywał z cicha na organkach, a gwoździem programu miało być odczytanie

przez Samuraja opowiadania pt. „Sinus”, które przeznaczylimy do piątego numeru naszej gazetki klasowej „Proza Życia”, wychodzącej mniej więcej co miesiąc w trzydziestu odbitkach maszynopisu. Sam czytał z namaszczeniem, klasa słuchała w skupieniu. Po ostatnich słowach zapadła kościelna cisza, którą najniespodziewaniej przerwał Sinus serdecznym śmiechem.

– To się nazywa zrobić z igły widły! Z drobnego incydentu: heroiczny wyczyn. A wszyscy wiedzą, że mój udział w tej sprawie był prawie żaden.

Autor próbował coś tłumaczyć, ale się zapętlił i speszony umilkł. Wtedy z kąta odezwał się Robert, brat Hanki.

– Przeciwnie, Panie Profesorze. Znam ten „prawie drobny incydent” z relacji siostry i widzę, że tu został opisany wręcz błado. Ona tylko upomniała się o prawdę. A udział Pana w sprawie polega na tym, że nie tych dwoje wyleciało ze szkoły, lecz Pan właśnie. Za drobny incydent. Prawie drobny.

Kronikarz

Za czasów dynastii tebańskiej, daleko na północy, było miasteczko Troja, jakich u nas liczy się dwadzieścia tysięcy. Na ten kurnik napadali rozmaite greckie włóczęgi i tak dokuczili niemnogim mieszkańcom, że ci, po dziesięcioletnich niepokojach, spalili forteczkę i wynieśli się na inne miejsce. Zwykła historia... Tymczasem patrz, jakie pieśni śpiewają Grecy o trojańskich walkach.

Bolesław Prus, „Faraon”

Oddając do rąk Czytelnika pierwszy numer naszego pisma, odczuwamy potrzebę usprawiedliwienia się. Cała bowiem prasa konspiracyjna drukuje przede wszystkim informacje i artykuły publicystyczne, a my będziemy zamieszczać wyłącznie wiersze i krótkie opowiadania.

Często się słyszy, że zadaniem niezależnych wydawnictw jest odkłamywanie telewizyjnej propagandy i podawanie prawdziwych informacji. Zgoda, ale jeśli ktoś nie może tego zrobić, choćby z braku szerszej siatki informacyjnej, to ma milczeć? Nie chcemy zajmować się tematami, podrzucanymi przez telewizję, bo mamy swoje. Poza tym – w telewizji nie o stan informacji chodzi. „Dziennik Telewizyjny” łamie nam ducha!

Naszym zdaniem – ważne są wieści o faktach, ale jeszcze ważniejsze są informacje o stanie ducha narodowego. A stan ducha nie zawsze ujawnia się w wydarzeniach widowiskowych. Do wyrażenia ducha nie wystarczy notatka prasowa o takim czy innym incydencie. Niewiele np. dowiedzielibyśmy się z opisów lekcji wychowania obywatelskiego w stu pięćdziesięciu nawet szkołach. Na wszystkich tego typu lekcjach panuje duch podobny, ale rzadko przebija się on do sfery faktów tak, jak np. w opowiadaniu pt. „Sinus”. Będziemy więc publikować próby literackie naszych kolegów i współpracowników świadomi wagi tej misji informacyjnej, w której uczestniczymy.

Koledzy. Nie rzucajmy kamieniami. Słowa są cięższe od kamieni. Piszmy!

Redakcja

Groteskowe czasy

Pożegnawszy się z Sinusem, Robert zabrał mnie, Kagatkę i Samuraja do pewnego magisterka, który współpracował z Wydawnictwem Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej WAGO. Przewaliśmy go od razu Kreślarem, gdyż niesamowicie pokreślił materiały, przygotowane do 5. numeru „Prozy Życia”, a pięciostronicowy reportaż Kagatki o rajdzie hydropancerów skrócił do dwudziestu linijek. Niby że skoro na pierwszej stronie jest lepsza puenta niż na ostatniej, to z pierwszej robimy ostatnią, a reszta do pieca kaflowego.

Celem tego spotkania było sfinalizowanie propozycji Delegatury, by nasze piśmisko ukazywało się drukiem jako młodzieżowy dodatek literacki biuletynu „Manifestacja Gliwicka”. Delegatura „Solidarności” dawała matryce i papier, WAGO – druk, a Kreślarz miał z nami selekcjonować i... skraćć teksty.

Tytuł „Proza Życia” od dawna wydawał się nam niezbyt stosowny w tak poetycznych czasach, więc zmieniliśmy go na „Stan Ducha”, a już kilka dni później, 17 maja 1982, ku głośnemu przerażeniu i cichej dumie rodziców i nauczycieli, rozprowadziliśmy część nakładu pierwszego naszego druku. Specjalny, zupełnie nieczytelny egzemplarz podrzuciliśmy dyrektorowi, który zresztą jest postacią raczej groteskową niż groźną. Ujął to dość trafnie Sam w opowiadaniu „Kreda”.

Groteskowość dyrektora ujawniała się na każdym kroku. Na przykład Hance postawił warunek powrotu do szkoły ni mniej, ni więcej, tylko taki, żeby w obecności klasy wymazała z tablicy ten swój słynny napis.

Ponieważ jednak działo się to 16 maja, kilka dni po oficerskim występie i tablica była zmyywana ze sto razy, więc dyro sam napisał kredą „Pan Major kłamie”, a Hanka to starła i już. Następnego dnia wyszedł nasz pierwszy numer!

Kronik

Hydropancery

Są! Są już, proszę państwa, pierwsi demonstranci. Godzina siedemnasta. Tak. Na nich zawsze można liczyć, ci nigdy nie zastrajkują! Już pod dworcem pokazały się światła czołówki. Jest radiowóz na sygnale, a za nim wjeżdża barwny peleton. Ach, jak uroczym mrugają niebieskie kręciołki...

Lecz oto w towarzystwie opancerzonego pojazdu bojowego pojawiają się jakieś niezwykle wozy kolorowe na gumowych kółkach... Tak, proszę państwa, nareszcie dociera, choć jeszcze nie naciera, najnowocześniejsza technika. W Trzeciomajowe święto Gliwice ujrzały dwa ciemnozielone hydropancery. Ciekawie, czy to socjalistyczny wynalazek, czy też produkt imperialistyczny, kupiony za któryś z tych brakujących miliardów?

Jedzie ogromna kolumna zakratowanych bud z zomowcami... Z którego miliarda pochodzą te magiczne pałki, cudowne tarcze i reszta sprzętu? Który miliard zjadają i który trawią teraz nasi wspaniale umundurowani, na pewno przystojni i prawdopodobnie może nawet mądrzy koledzy? Mniejsza o to. Za parę lat pójdziemy do pracy i wszystko spłacimy...

...z nawiązką!

Kagata

Kreda

Na dobrą sprawę można powiedzieć, że cała klasa jest w konspiracji. Oczywiście mało kto robi coś konkretnego, ale wszyscy, nawet dziewczyny, przynoszą bibułę na wymianę. Każdy ma też obowiązek od czasu do czasu skombinować kawałek kredy i przekazać to potem, komu trzeba. Wiadomo, wakacje za pasem i przyda się rezerwa, bo w razie czego... może zabraknąć kredy. Składamy więc kredę, farby, pędzle, papier, tusz i co się da. Wyjątkiem jest Komin, który do niczego nie należy z powodu choroby. Codziennie straszy, że jutro umrze, kpi ze wszystkiego i stale wycina takie numery, że jedni zrywają boki, a innym cierpnie skóra.

Feralnego dnia, gdyśmy przechodzili do gabinetu biologicznego, zauważyłem piramidkę kredy na parapecie portierni. Niezła porcja. Od razu wydało mi się to podejrzane, bo ostatnio kredę dostają tylko nauczyciele, a wyjątkowo – po sztuce – dyżurni. Poza tym od rana kręcił się po korytarzach jakiś człowiek, który zdecydowanie wyglądał na smutnego pana. Ale chłopców zawiodły nerwy...

Z jednej strony Bryk z Długim zaczęli się niby bić, a z drugiej – Maciek, obstawiony szczelnie przez dziewczyny, korzystając z zamieszania, zwinął całą piramidkę. Porozumieli się mrugnięciem oka, więc nie było czasu na zastanowienie. Z pewnością nikt nie widział, jak zniknęła kreda, ale przecież, oprócz nas, nie przechodziła tamtędy żadna klasa! Wystarczyło dosłownie chwili i do gabinetu biologicznego wkroczył promienny dyro w asyście smutnego. Zablefował od razu.

– Wiemy, kto ukradł kredę! Jeżeli złodziej przyzna się w ciągu dwóch minut – nie będzie żadnych konsekwencji. No, proszę...

Dyrektor spojrział na zegarek i z triumfalną miną zaczął spacerować po gabinecie, przyglądając się zaskoczonym uczniom. Smutny stanął przed gablota tyłem do klasy i z wielką uwagą studiował kościec człowieka. Minuta minęła spokojnie, nikt chyba za bardzo się nie bał. Tymczasem smutas znudził się kościotrupem, odwrócił się i burknął niby do siebie.

– No, za minutkę zajrzemy do teczuszek.

Zerknąłem na Maćka. To go zmroziło. Nie wiedział przecież, kto jakie ulotki ma w tornistrze, a było oczywiste, że rewizja przyniesie efekty apokaliptyczne. Nie znajdzie się tylko kreda, którą Maciek przezornie ukrył w modelu czaszki, leżącym obok studiowanej przez smutnego gabloty. Nie spojrzałem już na winowajcę, ale wyobrażałem sobie, co w jego bladej czaszce teraz dzieć się musi.

– Jeszcze piętnaście sekund – wesoło oznajmił dyrektor – jeszcze dziesięć, dziewięć – coraz weselej – osiem, siedem...

No tak, nasza klasa została namierzona. Pułapka. Maciek drgnął. Teraz wstanie, chociaż w tzw. „żadne konsekwencje”, znając dyrektora, na pewno nie wierzy. Szybszy był jednak Komin. Wyminął smutnego i podniósł czaszkę ze stołu.

– Zdrajca! – chciałem krzyknąć, ale zabrakło mi głosu.

Komin już wchodził na podest, nadał się i – łącząc sceny z różnych aktów – z tragikomicznym patosem zaczął najsłynniejszy monolog świata.

– *To be, or not to be: that is the kreda! Whether 'tis nobler in the mind to suffer...* – Komin otworzył czaszkę i wysypał kredę na katedrę. Przedstawienie przerwał jednak smutny:

– No i mamy ptaszka – wycedził.

- Macie - odparł Komin - ale bez żadnych konsekwencji. Słowo dyrektora rzecz święta, a ja w święte rzeczy wierzę tak, jak w słowo dyrektora. *The slings and arrows of outrageous fortune, or to take arms against a sea of troubles, and by opposing...*

- Ty, Habalski, co to znowu za kpiny? - niepewnie pogroził dyrektor, który nie słyszał ze znajomości angielskiego.

- To nie są, panie dyrektorze, kpiny. Jak mają być konsekwencje, to proszę: chowam kredę do czaszki, a ten pan niech szuka jej w teczuszkach. *And by opposing end them? To die...*

Bezczelność Kominiarza tak zaskoczyła dyrektora, że ten ostatecznie stracił kontenans i już całkiem mętnie zapytał.

- Habalski, dlaczego ty kradniesz kredę?

- Kradniesz, zaraz kradniesz. Takie słowa... Wie pan dyrektor, jak się robi szpachlówkę do trumny? Bierze się klej kostny, sproszkowaną kredę, trochę wody, miesza się, grzeje i już można szpachlować. A jak trumna dobrze wyszpachlowana, to aż przyjemnie się położyć. Sprawdzone. Trenuję te rzeczy, bo mogliby mnie położyć bez przymiarki. *To sleep no more...*

- Habalski, co ty wygadujesz? - Dyro był bliski rozpacz.

- Szczerą prawdę, panie dyrektorze, znajomy trumniarz naprawdę tak robi szpachlówkę. Teraz spodziewa się większego urodzaju na nieboszczyków, bo ludzie się chętnie chowają... Poza tym - Kominiarz wręczył czaszkę smutnemu - radzę nosić to przy sobie, bo w razie czego może braknąć... kredy?

Ten Sam

Siedem argumentów

Rodzice początkowo udawali, że nie widzą mojej działalności w redakcji. Nawet gdy raz wróciłem po godzinie milicyjnej z rękawem usmarowanym farbą drukarską, wystarczyło usprawiedliwienie, że „gdzieś musiało być świeżo malowane”.

W pierwszym wojennym półroczu, zwłaszcza w maju i czerwcu ogólny stan ducha był niezły. Ojciec na pewno otrzymywał skądś bibułę; mama chyba w swoim instytucie zbierała związkowe składki, ale przede mną to ukrywała i unikała niebezpiecznych rozmów.

Zaczęła się poważnie niepokoić dopiero w sierpniu, gdy kilka razy wpadli do mnie Robert z Kreślarzem i inni. Wiedziała, że ojciec Roberta był 13 grudnia internowany, a matka przebywała w RFN, gdzie zastał ją stan wojenny podczas odwiedzin u dalszych krewnych. Niepotrzebnie dodałem, że Kreślarz pracuje na politechnice.

- Politechnika, wiadomo... już ja wiem, czym to pachnie...

Prawdziwy strach sparaliżował mamę 31 sierpnia na wieść o internowaniu Roberta i o moim udziale w manifestacji i w mszy u Piotra i Pawła, po której odbyło się gazowanie miasta i łapanki na ulicach. Wyszedłem z tego cało, ale do sąsiada z góry zomowcy wstrzelili petardę, a pod naszym oknem pałowali na przystanku zupełnie przypadkowych przechodniów.

Pech chciał, że akurat w środę pierwszego września skończyłem 17 lat. Ciężki to był dzień w domu. Mama, zaraz po przyjsciu z biura wyrecytowała tekst, nad którym pracowała pewnie w myślach od rana.

- Po pierwsze, jesteś teraz dorosły w świetle prawa karnego, więc dostaniesz za TO co najmniej siedem lat. Po drugie, nie jesteś jeszcze na własnym utrzymaniu. Po trzecie, jesteś jeszcze za młody, żeby się w TO wciągać... itd., itp.

Słuchałem smętnie, wiedząc, że musi to dojść do siedmiu, jak zwykle w takich razach.

- Po siódme, już dosyć się narażałeś! Teraz czas na innych.

O dyskusji nie było mowy. Koniec i kropka. Niech inni walczą, bo niektórzy się boją. Niech inni działają, bo zomowiec komuś się śni po nocach. Niech inni pracują, bo na mnie jest specjalny paragraf...

Na próżno, Maćku, pisałeś o rekrutach WRON-y. Twoje argumenty nie docierają do sterroryzowanego społeczeństwa. Na próżno, Adamie, pokazałeś, jak безпеca wciąga nawet przedszkolaków.

Mi nie wolno się wciągać, bo jestem już za stary i jeszcze za młody. Niech walczą inni...

Bosman

Nie wciągać młodzieży

Czy jakikolwiek sens miało włączanie trzynastolatków z Szarych Szeregów do działań bojowych w Powstaniu Warszawskim? Ci, którzy nie wiedzą, że zginęło wówczas dziesięciokrotnie więcej bezbronnych cywilów niż żołnierzy, powiedzą, że wysyłanie dzieci na pewną śmierć było niesłuszne.

A wysyłanie na różne fronty „dorosłych”, czyli osiemnastolatków, czyli naszych rówieśników, było słuszne?

Dlaczego nikt nie powie, że wojna obronna w roku 1939 była z gruntu niesłuszna i wręcz szkodliwa? Przecież -

gdybyśmy Niemców witali wszędzie chlebem i solą, może by nas Hitler potraktował łaskawiej? Nasi ojcowie i dziadkowie mogli uległością kupić sobie zupełnie inne życie. Dlaczego więc woleli ginąć?

O nie. Nieprawda! Pytanie jest źle postawione. Nasi ojcowie wcale nie chcieli ginąć. Oni bardzo pragnęli żyć. Ale żyć chcieli życiem swoim własnym! To życie, które mogli sobie kupić hańbą uległości i kolaboracji, ich życiem już by nie było.

A my, jutrzejsi rekruci WRON-y*, w imię czego mamy rezygnować z obrony naszego prawdziwego życia? Dlaczego wciąga się nas do uśmiercania tego, co w nas jest największe i najwartościowsze? Uległością i kolaboracją zapewnimy co najwyżej spokojną przemianę materii w obcym, małym człowieczku, który będzie obnaszał siebie w ciele naszego trupa.

Maciek

* WRON – Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Niekonstytucyjny i pozorancki twór pod wodzą generała Wojciecha Jaruzelskiego, służący do wprowadzenia stanu wojennego. Nazwa popularna: „wrona”.

Dziadek Mróz

- Wiesz, tatuś, dzisiaj w przedszkolu był Dziadek Mróz. Mówię ci, Jacek dostał prawdziwego kolta, takiego, jak mają kowboje. Dlaczego mamusia po mnie nie przyszła? Ale to nic, tatuś. Z tobą też się fajnie idzie.

- Ja bym dostał pepeszę, ale nie wiedziałem. Jolka mówiła, że pomielacz to jest taki do mielenia kawy, ale ona jest gupia i też nie dostała, tylko cukierki. Tatuś, co to jest pomielacz?

- A wiesz, to był taki nowoczesny Dziadek Mróz. Przyjechał gazikiem, widziałem przez okno. I pozwolił nam bawić się maszyną do pisania. Jacek to zaraz ją zepsuł, ale Mróz ma teraz dużo takich maszyn, to możemy sobie psuć. A dlaczego mamusia ma tylko jedną?

- Mówię ci, wszyscy myśleli, że to Święty Mikołaj. Taki, co był na Świętego Mikołaja. Ale już Mikołajów nie będzie, tylko Dziadki Mrozy. To fajnie, tatuś, bo Mrozy mają teraz najlepsze dojście do pistoletów i cukierków. A ja dostałem tyle czekolady, że aż mnie brzuch boli.

- Tylko Jolka zwymiotowała, gupia. Wiesz, że ona nie umie nawet powiedzieć porządnie „solidarność”? A ja najlepiej umiałem. Mamusia pisze dużo „solidarność”, prawda?

- I powiedziałem, że tu będzie Plac Solidarności. I że w każdym mieście będą place Solidarności, a Dziadek Mróz tak się śmiał, że aż mu się broda odlepiła. I powiedział, że będą placki z solidarności.

- Tatuś, jak się robi placki z solidarności? Mamusia by na pewno wiedziała. Zobaczysz, będzie wiedziała! Na pewno.

- A najlepszy to był Jacuś, bo wiedział, co to jest ksero. Bo jego wujek ma prawdziwe ksero w piwnicy i zaraz dostał tego kolta. Ale on chyba bujał, ten Jacek, bo mu Dziadek Mróz nie uwierzył. Powiedział, żeby go zaprowadził do tej piwnicy, to dostanie kapiszony do tego kolta. Całe pudełko! Jutro da nam postrzelać, bo dzisiaj pojechali po tego wujka.

- Tatuś, co to jest ksero? Zrób mi jakieś ksero w piwnicy, dobrze? Tatusiu, dlaczego nic mi nie mówisz? Ja już nie chcę z tobą chodzić! Dlaczego mamusia po mnie nie przyszła!?

Adam B.

Robert cieszył się w naszym gronie wyjątkowym szacunkiem. Był od nas o kilka lat starszy, jeździł z ekipą spawaczy po elektrowniach i ciepłowniach, a na temat pracy miał pogląd – w najlepszym tego słowa znaczeniu – śląski. Po prostu nie umiał źle pracować i bardzo ostro występował przeciwko idei żółwiej pracy, której realizację widział przede wszystkim w działaniu służby zdrowia, kolei, poczty i wszelkich usług publicznych. Zgadzał się z Sinusem, że komuny nie można zwalczać w żółwym tempie.

Któregoś dnia zaczął opowiadać o żółwiach, ale zakończył na innych gadach w sposób nadający się do zapisania. Opowiadanie Roberta pt. „Węże”, spisane przez Samuraja, było duchem tak dalekie od wszystkiego, co się wówczas czytało, że zastanawialiśmy się długo, dobre siedem minut, czy można je opublikować. Teraz przypominam sobie, że ktoś wtedy zażartował.

- Jeżeli chcesz rzetelną pracą walczyć z komuną... wyjedź.

- To jest dobra myśl – przytaknął Robert, a nam się zdawało, że on żartuje i nie braliśmy tego na serio.

Tymczasem do sierpnia Robert pracował dla komuny na najwyższych obrotach, często w nadgodzinach, bo choroba ojca była związana z wyjątkowymi kosztami. W elektrowni ceniło go jako spawacza wysokiej klasy i powierzano mu najbardziej odpowiedzialne zadania, zwłaszcza przy remontach kotłów parowych.

31 sierpnia, na mocy ogólnowojskowego absurdu, został wyrzucony za bramę i natychmiast internowany za „rażące naruszenie dyscypliny pracy”. Okoliczności owego „naruszenia” były następujące.

Skrócenie cyklu remontowego elektrownie uzyskują w ten sposób, że wysyła się spawaczy do bardzo jeszcze gorącego kotła. Po dwóch kwadransach pracy w temperaturze przekraczającej miejscami 60 stopni, przy braku świeżego powietrza, skrajnie wyczerpany spawacz, który wypelza z kotła, siada na byle czym i zwykle natychmiast zasypia. Na tym polega „regeneracja” organizmu. I tak śpiącego Roberta nakrył komisarz wojskowy. Było to 31 sierpnia, na kilka godzin przed zapowiadany na siedemnastą manifestacjami w Gliwicach i Zabrze. Komisarz ucieszył się, że ma pierwszego strajkującego i, nie budząc Roberta, rozkazał komuś ze swojej świty.

- Wypieprzyć obiboka!

Brygadzysta zaczął wyjaśniać, że takie są warunki, że to jest normalne... Ale komisarz, który też musi wykazać się odpowiednim „przerobem”, huknął na niego po oficersku:

- Nie będziesz mnie tu, chamie, uczyć, jak się robi!!

Pod bramą czekała już suka.

Kronik

Rodzinny spacer

- Przydałaby się nam półka na przyprawę...

Byliśmy wtedy w kuchni, krzątając się w milczeniu i przesypując bezmyślnie jakieś majeranki i inne cynamony z jednego słoika do drugiego. Poprzedniego dnia allstarsi długo w nocy gadali, a ja zupełnie nie mogłam zasnąć i wszystko słyszałam. Medytowali, jak to wykombinować, żebym ja TAM nie poszła. Ojciec miał drugą zmianę, a mama koniecznie chciała TAM iść. Przecież nie mogli mnie zamknąć, a „gadane nie poskutkuje”, jak orzekł był fazer. Stało się na tym, że mama

jednak zostanie i zrobi WTEDY ze mną jakieś większe sprzątanie, pranie, czy coś takiego. Ale trudno wymyślić „coś takiego” WTEDY, gdy trzeba być TAM!

I jak już zaczęło się o tej półce, to stwierdziłyśmy, że musimy ją kupić... i to zaraz, i to koniecznie w sklepie meblowym na 1 Maja. Mama nawet mnie poganiała.

- Śpiesz się, bo o piątej zamykają sklep...

Obie byłyśmy już dawno ubrane. Nie wiedzieć czemu, przesypywałyśmy ten majeranek w spodniach i adidasach. Wyszłyśmy zaraz.

Do Delikatesów biegłyśmy co tchu, tylko jak tu przejść przez skrzyżowanie? Jak okiem sięgnąć - patrole, patrole, patrole. Po sześciu, po ośmiu, po dziesięciu. Mama stanęła.

- Może kupimy tę półkę innym razem... Już pięć po piątej?

Idziemy. Mama wzięła mnie mocno pod rękę i przestała się odzywać. Pod „Parysem” omijamy stada niebieskich ptaków. Nie sieją, nie orzą, a każdy patrol już kogoś zebrał, zatrzymał, kogoś spisuje.

- W porządku - przemknęło mi przez głowę - biorą tylko chłopaków.

Wstyd się przyznać, ale bardzo nie chciałam kończyć wakacji w komisariacie.

Idziemy dalej. Na moście też po naszej stronie wszystkie patrole zajęte. Ci są niegroźni. Dopóki piszą - nie warto się nimi przejmować. Gorszi są bezrobotni. Patrzą na ludzi świdrującymi oczkami i wybierają... Od takich z daleka. A ludzi coraz więcej. To dobrze, może się jakoś uda, może się uda, może...

- Dowodzik pani! - Mama aż się potknęła, a mi serce podeszło do gardła. Jesteśmy załatwione! A to się ojciec ucieszy...

Tak, w tym strasznym momencie pomyślałam o ojcu. I o tym, że milicjant, który nas zatrzymał, też pewnie jest ojcem, bo za młodo nie wyglądał. Ciekawe, co on powie swoim dzieciom? Ta myśl tak mi dodała otuchy, że – zaskakując sama siebie – wypaliłam:

– Czy tędy do dworca? – I, nie patrząc na zbaraniałego osła, ciągnę mamę na drugą stronę mostu. Uszłyśmy ze sto metrów, gdy poczułam, że obie trzęsiemy się jak galareta. W takim stanie możemy już tylko wracać do domu.

Przed Placem Piastów zatrzymał nas stojący tłum gapiów, czekających na chwilę odwagi, która pozwoli im włączyć się do pochodu. Zdenerwowali mnie ci stacze niezdecydowani. Musiałyśmy zejść na jezdnię, żeby ich wyminąć. I już nie pamiętam, jak to się stało, że przeszłyśmy znów na drugą stronę i w ogóle nie wiem, co się z nami później działo. Ocknęłam się dopiero wieczorem, gdy – wróciwszy po mszy do gruntownie zagazowanego mieszkania i znów siedząc w milczeniu nad zmarnowanym majerankiem – ocierałyśmy łzy, płynące nie tylko z powodu gazu. Pierwsza odezwała się mama.

– Zapomniałyśmy o tej półce...

– Nie szkodzi – odpowiedziałam – pójdziemy kiedy indziej. Może 11 listopada, może 16 grudnia...

Kagata, 31 sierpnia 1982

Węże

– Całą godzinę przerzucaliśmy stertę gumowych węży, skasowanych przed wojną. Jeszcze parę metrów udało się wybrakować, jeszcze parę dniówek da się pociągnąć...

– A później? Czy będzie dla nas jakieś później?

– Sztukowany wąż spawalniczy wewnątrz gorącego kotła... Dobrych dłuższych odcinków nie ma i nie będzie. Kto nie wie, co to znaczy, ten dowie się „później”. Który z naszej piątki się dowie? I o kim?

– Przed każdym zejściem do tego piekielnego kotła żegnaliśmy się z sobą. Niby to żartem, niby z fasonem, ale śmiech jakby za głośny, nieszczerzy. I jacyś tacy zrobiliśmy się pobożni. Sam nie wiem, dlaczego poszedłem wczoraj do spowiedzi. Przecież nie zgrzeszyłem, nie ukradłem, nie zabiłem...

– A o tym niedospawanym kolanku początkowo zapomniałem całkiem uczciwie.

– To było tak, że w pewnej chwili zaczęło śmierdzieć acetylenem. Na to jestem uczulony jak na telewizję. Przerzywam robotę i patrzę, co się dzieje. Spoina była właściwie gotowa, tylko w jednym miejscu wypadło dosmarkać. Ale tego nie poprawiłem. Po zdrutowaniu węża zabrałem się do następnego kolanka, a o tym jakoś w nerwach zapomniałem.

– Przy trzecim zejściu przypomniałem sobie. Patrzyłem na spaw dłuższą chwilę i przed oczyma stanął mi nasz komisarz. Też pewnie wyciągnięty ze sterty wybrakowanych pułkowników.

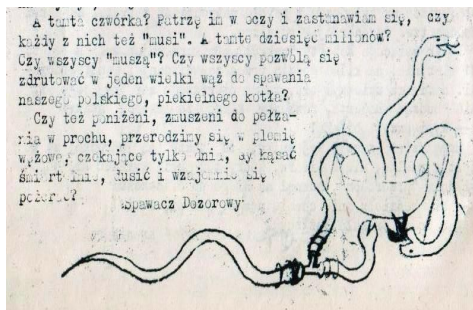
– Wojskowa Rada liczy na wasze zaangażowanie.

Tyle miał do powiedzenia na odprawie.

– Oj, przeliczy się, panie pułkomisarzu. – Tak pomyślałem i zostawiłem to kolanko, jak było. Może by wytrzymało... Jak długo?

– Ale nie. Dzisiaj musiałem zrobić porządek. Nie, nikt by nie wykrył, bo już od dawna nie ma czym badać takich spawów. Po prostu musiałem.

- A tamta czwórka? Patrzą im w oczy i zastanawiam się, czy każdy z nich też „musi”. A tamte dziesięć milionów? Czy wszyscy „muszą”? Czy wszyscy pozwolą się zdrutować w jeden wielki wąż do spawania naszego polskiego, piekielnego



kotła? Czy też poniżeni, zmuszeni do pełzania w prochu, przerodzą się w plemię węzowe, czekające tylko dnia, by kąsać śmiertelnie, dusić i wzajemnie się pożerać?

Spawacz Dozorowy

Germanizacja

Pan Bernard, ojciec Roberta i Hanki, był starym związkowcem w KWK „Sońnica”. Na emeryturę czy rentę odszedł był jeszcze przed Sierpniem, a mimo to czynnie działał w pierwszych, organizatorskich miesiącach „Solidarności”. Po roku ciężka choroba wyeliminowała go z życia publicznego i wszyscy o nim zapomnieli. Wszyscy, ale niebezpieka.

13 grudnia – z zapaleniem żyły i niegojącą się raną nogi – zabrano go do Zaborza. Zimno, wielodniowy brak insuliny i fatalne warunki higieniczne gwałtownie przyspieszyły rozwój choroby. Gdy w styczniu wypuszczono go wreszcie do szpitala, okazało się, że noga jest stracona. Był jeszcze ratunek w brytyjskich czy niemieckich zastrzykach o nazwie, zdaje się, Complamin, ale – dla zwykłych pacjentów – w państwowym lecznictwie takich cudów nie ma. Można było zdobyć Complamin przez PCK pod warunkiem jednak, że lekarz weźmie kurację na swoją odpowiedzialność i wypełni jakiś ogromny formularz wynikami badań specjalistycznych, czego nikomu nie chciało się robić. Trudno opisać, ile Robert

przeżył w związku z tym upokorzeń, ile się naprosił, ile musiał zapłacić za bezpłatną opiekę medyczną. W końcu doradzono mu, żeby sprowadził lek drogą najszybszą, prywatną.

Szczęściem matka Roberta nadal przebywała w Monachium i natychmiast zdobyła potrzebne leki, których spis został wysłany okreśną drogą telegraficzną przez Szwecję (połączenia telefoniczne z Niemcami były w styczniu odcięte). Nie mogła z tym jednak przyjechać, bo groziło jej dziesięć lat więzienia za audycje w „Wolnej Europie”. Sto zastrzyków Complaminu i inne jeszcze lekarstwa wysłała ekspresowo pocztą, ale znów paczka utknęła w urzędzie celnym, o czym Robert dowiedział się po dwóch tygodniach poszukiwań. Przesyłka miała w PRL wartość połowy samochodu, więc na jej wydobywanie poszły kolejne łapówki. To już wzięła na siebie starsza siostra Roberta, Karina, mieszkająca wraz z mężem i dziećmi w Łabędach. Ale i ona w każdej chwili mogła wylecieć z pracy w zmilitaryzowanym Bumarze; stale gdzieś ją wysyłali i radzili nie przypominać, że ma „takich” rodziców i „takie” problemy.

Hanka też całe dni pomagała kosztem nawet szkoły, ale na ratunek było już za późno. Kuracja się nie powiodła. Po operacji pan Bernard kilka miesięcy spędził w domu. W sierpniu jego stan się pogorszył i znów trafił do szpitala. Chory nie tracił wszakże ducha i wszystkie cierpienia znosił z wyjątkowym spokojem. Załamała go dopiero rodzinna tragedia. Po miesiącu pan Bernard wezwał mnie wraz z kilkoma przyjaciółmi Roberta do szpitala i ze łzami w oczach prosił nas, żebyśmy nie wypuścili z Polski jego syna. Było to dla nas wielkim zaskoczeniem.

- Jak to? Robert? Przecież on nigdy nie wyjedzie!

- Wyjedzie. Wyjedzie, jak go nie zatrzymacie. Wyjedzie i jego dzieci będą Niemcami...

- Robert, najlepszy z nas, miałby wyemigrować?

Później ułożyło się to w logiczny ciąg śląskich życiorysów i rodowodów. Ojciec pana Bernarda był powstańcem śląskim, on sam - przez kilkanaście miesięcy - żołnierzem Wehrmachtu. Ranę, która się teraz odświeżyła, otrzymał z rąk polskich w bitwie pod Węgierską Górką. Czuł się Polakiem i nazywał tę kontuzję błogosławioną, gdyż pozwoliła mu nie strzelać do Polaków. Ta sama rana zwolniła go z wyjazdu na front wschodni w niemieckim mundurze, choć - zaleczona - już nie uchroniła go od wywózki do kopalń Donbasu w lutym 1945.

- Ślązacy - mówił - przez tyle wieków zachowali polską mowę i żaden był skutek germanizacji. Dopiero czerwoni pokazali, jak można zgermanizować Śląsk. Przecież teraz co drugi chce być Niemcem! Zobaczcie, jak się wyszukuje pokrewieństwa z Niemcami, żeby tylko podciągnąć swój wyjazd pod „łączenie rodzin”. Ilu ludzi po prostu ucieka! Uciekają od komuny, tak, ale przez to uciekają od Polski! I albo kto komunę zlikwiduje, albo komuna zniemczy cały Górny Śląsk...

- Wiedźcie - kontynuował - że w Zaborzu wszystkim młodym wciska się paszporty. Robert paszport weźmie, wizę dostanie, kupi bilet w jedną stronę i jak mu nie pokażecie, że Polska będzie kiedyś bez komuny, to wyjedzie. I nie wróci!

Chory mówił z coraz większym wysiłkiem. Często przerywał, zmieniał temat, naszych słów zdawał się nie słyszeć. W końcu pożegnał nas, dodając.

- Nie wiem, czy jeszcze go zobaczę, więc to wam zostawiam jakby w testamencie...

Pan Bernard zmarł niedługo potem. Synowi ostatniej posługi oddać nie pozwolono.

Toro

Podwójna składka

Niełatwo matematykowi znaleźć pracę w roku 1982, a w maju i czerwcu było to obiektywnie niemożliwe. Sinusa nie chciano przyjąć do żadnej szkoły średniej nawet od września. Prawdopodobnie było to związane nie tyle z szykanami, co raczej z ogólnym stanem państwa. Sinus pracował w liceum dwa lata, a sytuacja zmieniła się diametralnie. W roku 1980 po trzech telefonach zyskał trzy propozycje, a teraz - po miesiącu chodzenia i dzwonienia - zero.

Po prostu nauczyciele, żeby wyżyć, muszą pracować na półtora etatu i dyrektorzy starają się utrzymywać minimalny stan zatrudnienia. Wszyscy mówią, że - z braku prądu - rodzi się teraz rekordowo dużo dzieci, za to w liceach i technikach mamy akurat rok najgłębszego niżu. W szkołach podstawowych jest już znacznie lepiej, ale chyba tam Sinus nie szukał zatrudnienia; z małymi dziećmi nie czułby się dobrze. W końcu trafił do Huty Jednego Maja, gdzie na mizernej posadce doskonalił się w ambitnej sztuce sumowania słupków.

Więcej szczegółów nie znam, gdyż Sinus jest wyjątkowo małomówny w sprawach dotyczących jego pracy. Nie wiem też, dlaczego znalazł się on po południu 11 listopada w pobliżu ulicy Zwycięstwa. Niewykluczone, że zwyczajnie wracał z huty do domu Aleją Przyjaźni Polsko-Zdradzieckiej i chętnie zgadzam się z tą tezą, gdyż był on zdecydowanym przeciwnikiem zbiorowych akcji, stanowiących rację istnienia ZOMO.

Sinus, który pierwszy kwartał stanu wojennego przesiedział jednak w obozie internowanych, a młodość spędził na wywózce w ZSRR, uważał, że powinniśmy manifestować swój stan ducha na każdym kroku. Gdyby taka utopijna akcja przybrała powszechny charakter, wówczas utwierdzilibyśmy wza-

jemnie swe postawy niezłomne, a komuna, niezdolna do uruchomienia bijącego serca partii, musiałyby zwijać manatki.

Nie wdając się więc w domysły co do intencji Sinusa 11 listopada, ograniczę się tylko do podania faktów, które on sam ujawnił. Otóż tego dnia powrót do domu wydłużyli Sinusowi jednolicie ubrani gentlemani z maskami gazowymi u boku; dnia następnego uścił on w Kolegium złotych dwadzieścia tysięcy, dzięki czemu pozostał wprawdzie na wolności, ale znów pożegnał się z pracą. Wiadomość lotem błyskawicy obiegła szkołę, a nasza klasa, która czuła się z Sinusem szczególnie związana, postanowiła zrobić składkę i zwrócić mu poniesione koszty.

Tę niemałą sumę w tajemnicy przed rodzicami zebraliśmy w ciągu tygodnia. Okazało się jednak, że nie ma odważnego, który by poszedł do Sinusa z pieniędzmi. Wyruszyliśmy więc znów całą klasą. Rozmowa dotyczyła różnych tematów, ale cel naszej wizyty tkwił gdzieś w czwartym wymiarze i nie mogliśmy tam trafić żadnym ogródkiem.

Dużo było narzekania na całą generację naszych rodziców, których dzieciństwo przypadło na lata wojny, a młodość na czasy stalinowskie. Zastraszone, zetempowskie, stracone pokolenie. Pierwsze, które już nie pamiętało Niepodległej i ostatnie, które jeszcze nie pragnęło Samorządnej. Przeciwnie poglądy wyrażała tylko Kagatka, której tak zazdrościliśmy rodzinnego spaceru na manifestacji 31 sierpnia. Poparł ją Sinus.

- Jakże wy krzywdzicie to zabiegane pokolenie. Znam z tej generacji osoby, które są bardziej aktywne od was. Nie malują wprawdzie po murach, ale cała wielka akcja pomocowa to właśnie ich dzieło.

Po chwili dodał:

- Parę dni temu przyszła tu pani z Komitetu Rodzicielskiego i zmusiła mnie do przyjęcia dwudziestu tysięcy.

- Jak to - wyrwało się komuś - i Pan Profesor od nich przyjął??

- A ty byś odrzucił? To by było dla nich bardziej przykre, niż dla mnie przyjęcie tych pieniędzy, z których zresztą zrobimy zaraz odpowiedni użytek. A poza tym nie miałem nic do gadania. Ta pani przygwoździła mnie argumentami wręcz nie do odparcia. Po pierwsze, że dla nich to jest jedyna możliwa forma działania; po drugie, że mają związkowe składki członkowskie, które i tak na te cele regularnie wydają; po trzecie, że szybko pracy nie znajdę; po czwarte itede.

- Zaraz, zaraz - zawołałem podniecony - ile było tych argumentów? Może... siedem?

- Siedem, kolego - odparł zdziwiony Sinus - po szóste było, zdaje się, że jedni się narażają, inni płacą, a znów po siódme, że ci walczą, tamci opatrują rany i tak już musi być... To wyglądało jak przygotowany, dobrze odegrany monodram... ale, ale: skąd wiesz, że siedem?

Zrobiło mi się gorąco, więc zapytałem dla pewności:

- Czy... czy ta pani może miała silne szkła w ciemnej oprawie?

- Owszem - przytaknął Sinus - szczupła szatynka w takich właśnie okularach. Ale dlaczego tak wypytujesz? To są niebezpieczne pytania.

Klasa patrzyła na mnie z zaciekawieniem, a ja z dumą, jakiej jeszcze w życiu nie przyszło mi zaznać, odpowiedziałem:

- To była... moja matka.

Bosman

To także młodzież

Powszechna jest nienawiść do ZOMO. To prawda. Oce-
niajmy jednak tę formację bez zacierzewienia. Dostrzeżmy
w zomowcu człowieka i starajmy się go zrozumieć. Do
ZOMO rzadko idzie się na ochotnika. Rekrut brany jest z woj-
ska, a do oddziałów specjalnych – z miejsc specjalnych. In-
struktorzy i oficerowie odczuwają niewypowiedzianą pogar-
dę do powierzonego im „elementu” i stosownie do tego po-
stępują (kary, system wzajemnych donosów itp.).

Niesłychaną agresywność zomowców wyzwała się wy-
chowaniem w panicznym strachu przed „krwiożerczym”
tłumem, co jest ilustrowane odpowiednio spreparowanymi
przykładami. Manipuluje się nawet słownictwem, np. tłum
bije, może nawet *zabić*, natomiast zomowiec *uderza*, ewentual-
nie może *użyć broni*, oczywiście w tzw. *samoobronie*.

Zomowcom wmawia się, że ich upodleniu winna jest
„Solidarność”, bo przez tę *imperialistyczną agenturę* zmuszeni
są do takiej właśnie służby. Ich nienawiść do „Solidarności”
jest więc szczerą, nie są potrzebne żadne narkotyki i – wbrew
pogłoskom – nie mamy żadnych dowodów na ich (służbowe)
stosowanie. To samo dotyczy zwykłych żołnierzy, zatrzymy-
wanych na trzeci rok.

Mity o nadzwyczajnym wyżywieniu ZOMO też są nie-
prawdziwe. Żarcie jest podłe, tak samo, jak w wojsku. Jedynie
na obozach specjalnych ćwiczeń i w niektórych „wynajętych”
hotelach bywa przyzwoita kuchnia. Superwikt zdarza się tyl-
ko przed i po akcji. Nie dziw, że chłopcy z ochotą rwą się do
walki.

Taka sytuacja jest dzisiaj. Co jednak stanie się z tą kilkuset-
tysięczną armią, która przez te lata przewinie się przez koszary
i koszmary ZOMO? Jeżeli nic nie zmieni się w ich losie – nie-
którzy wrócą do życia społecznego jako ostateczne wraki mor-
ralne, a często i fizyczne: kaleki, alkoholicy, narkomani. Począt-
kowo będą się cieszyć względną bezkarnością, a nabyta brutal-
ność rychło zaowocuje wzrostem liczby przestępstw. Nie będą
to kradzieże kieszonkowe, ale rozbój, bandytyzm i zorganizowa-
ny terroryzm, który może też obrócić się przeciwko władzy
(podobne zjawiska wystąpiły w USA po powrocie żołnierzy
z Wietnamu).

Musimy dążyć do zlikwidowania tej haniebnej organizacji.
Starajmy się doprowadzić do tego, by ZOMO przestało być po-
trzebne partii, czyli wypracować takie formy oporu, do łama-
nia których nie będą używani nasi bracia i koledzy ze złama-
nym kręgosłupem moralnym. Bądźmy gotowi wybaczyć tym,
którzy przez przyłbice nie widzą, co czynią. Nie piętnujmy,
lecz wskażmy im drogę do prawdy.

Redakcja

Z prasy legalnej

Zainteresowanych problematyką terroryzmu odsyłamy do
artykułu Jurija Trifonowa w 30. numerze „Polityki”, 11.09.1982.
Jest tam zdanie, które warto polecić łaskawej uwadze prezesa
Loranca* i pozostałym Lorenzacciom: *Terror i środki przekazu to
syjamscy bracia naszych czasów*. Autor artykułu analizuje napisa-
ną w roku 1872 powieść Fiodora Dostojewskiego „Biesy” i po-
kazuje, że istota terroryzmu ciągle polega na tym samym.

À propos „Biesów”. Na 78. stronie tej powieści (PIW 1977) czytamy zdania, których Trifonow nie cytuje. *Zauważyłem, że ci zapaleni socjaliści i komuniści są jednocześnie ogromnie łasi na pieniądze, skąpi, typowi posiadacze, a nawet im większy socjalista, tym zatwardziały posiadacz. Dlaczego tak jest?* Ostatnie zdanie artykułu Trifonowa w „Polityce”: *Uważnie czytajmy Dostojewskiego*. Tytuł: „Przepowiednia Dostojewskiego”. Trafny.

Redakcja

* Władysław Loranc – przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji (1981-82).

Donikąd

Zgodnie z przewidywaniami ojca – Robert złożył w więzieniu w Zaborzu podanie o paszport ósmego października 1982, w dniu delegalizacji „Solidarności”. W grudniu, po zwolnieniu, wyraźnie przygotowywał się do wyjazdu. Na sto procent jeszcze nie zdecydował, ale drogę na emigrację miał już w ogólnych zarysach wytyczoną. A nam pozostawała tylko nadzieja, że zanim wszystko załatwi, zdołamy go jakoś przekonać i zatrzymać, choć – poza dętymi sloganami – nie dysponowaliśmy zbyt dobrymi argumentami. Pomoc przyszła z najmniej spodziewanej strony.

Jeszcze w sierpniu Robert poznał niejaką Iwonę R., maturozystkę, która oblała egzaminy wstępne na medycynę i od razu zatrudniła się w szpitalu jako salowa, żeby zdobyć punkty na przyszły rok. Iwona wyjątkowo troskliwie zajmowała się panem Bernardem. Dla nas było to oczywiste, bo Robert jej

placił, ale on sam ten aspekt pomniejszał, przypisując Iwonie jakieś nadzwyczajnie samarytańskie cechy.

Dziewczyna była w typie dyskotekowo-narcystycznym; w razie potrzeby umiała jednak zagrać każdą rolę i cokolwiek zawróciła w głowie naszemu koledze, który jakoś wcześniej nie miał szczęścia w miłości i powoli popadał mentalnie w stan starokawalerski. W listopadzie, na przesłane z więzienia wyraźne żądanie Roberta, poszedłem do Szpitala Miejskiego, by przekazać Iwonie pozdrowienia i poprosić ją o adres do korespondencji. Ta pozdrowienia wykpiła, adresu nie dała i pomyślałem, że będzie z nią spokój. W grypsie napisałem krótko, że „na razie” są pewne problemy z adresem, a więcej prześlemy, jak będą widzenia.

Tymczasem Iwona dowiedziała się o emigracyjnych planach naszego kolegi od jego starszej siostry, Kariny, która była w szpitalu po jakieś dokumenty. Zaraz po powrocie Roberta z Zaborza Iwona „przypadkowo” spotkała go na ulicy. Przez wiele dni na moich oczach toczyła się obłudna gra, którą przejrzałem za późno, bo coś poradzić, gdyż Iwona starała się unikać poważniejszych rozmów, licząc widocznie na korzystny układ pewnych terminów w nadchodzącym roku 1983. W połowie stycznia doprowadziła do tego, że ogłupiały ze „szczęścia” Robert postanowił się z nią ożenić w tempie ekspresowym.

Dla odmiany sprawa otrzymania paszportu ślimaczyła się okropnie i wyglądało na to, że Robert poczeka jeszcze parę miesięcy ze względu na tzw. „niepowrót” matki. Przestał więc mówić o wyjeździe i jał rozglądać się za robotą, o co nie było łatwo, gdyż w przedsiębiorstwach państwowych nie mógł, jako zwolniony dyscyplinarnie, zatrudnić się w swoim fachu.

Trafił w końcu do jakiegoś rzemieślnika i zaczął normalnie pracować z perspektywą znacznie lepszych niż w elektrowni zarobków, ale też z ryzykiem, że każdego dnia zakładzik może być zamknięty wraz z właścicielem i pracownikiem. Jego plany matrymonialne popierali wszyscy, łącznie nawet z Kariną, która Iwony coraz widoczniej nie cierpiała i na sam jej widok dostawała gęsiej skórki. Pojawiła się nadzieja, że dzięki stabilizacji życiowej Robert porzuci ostatecznie plany, o których nikt już przy nim nie śmiał wspominać.

Staraliśmy się często bywać u Roberta, żeby jakoś wypełnić mu brak życia rodzinnego i nie zostawiać go zbyt długo sam na sam z myślą o emigracji. Któregoś dnia, mimo umowy, nie zastaliśmy Roberta w domu. Akurat wyjechał do konsulatu RFN. Otworzyła nam zapłakana Karina. Czekaliśmy do późnego wieczora w ponurym nastroju, pogłębianym jeszcze nienaturalnym ożywieniem Iwony, która przylazła nie wiadomo po co.

Gdy już zbieraliśmy się do wyjścia, wpadł zdyszany Robert, wołając wesoło od progu.

- Zostaję!

Na to zaraz Iwona.

- Czyś ty zwariował? Co to znaczy „zostaję”?!

- No, zostaję. Po prostu zostaję. Nie wyjadę - powtarzał Robert nieco zbity z tropu i dodał jakby na usprawiedliwienie.

- Po co mam wyjeżdżać, jak tu mam ciebie, przyjaciół, pracę, mieszkanie... Dziś postanowiłem ostatecznie: zostaję!

- Nie zrobisz mi tego! - Iwona nie wytrzymała.

- Jak to? Przecież mówiłaś...

- A co - Iwona zrzuciła maskę - myślałeś, że wyjdę za ciebie, żeby zostać w tym gnoju!?

- O czym ty mówisz? - Robert stał osłupiały, a i my nie mieliśmy tu nic do powiedzenia. Iwona też zamilkła, jakby przeraziła się własnych słów.

Tym bardziej złowroźbnie zabrzmiał lodowaty głos Kariny:

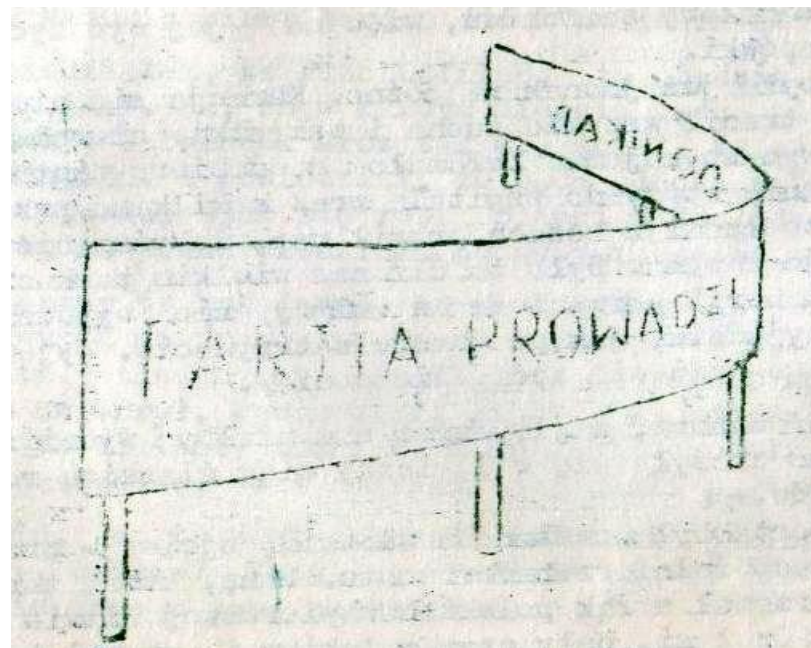
- Ta osoba nigdy nie chciała wyjść za ciebie, tylko za twój... wyjazd?

- Dlaczego!

Odwróciłem oczy od tej przykrej sceny. Za oknem przejeżdżający autobus oświetlił na chwilę fragment olbrzymiej tablicy z hasłem propagandowym. Zdołałem przeczytać: „Partia prowadzi do...”.

Dalszy ciąg napisu ginął w mrokach nocy.

Toro



*Goły człowiek, odarty zdradą i przemocą,
nie jest prawdziwszy od odzianego.*

NOTA WYDAWNICZA (do wydania zeszytowego z r. 1983)

„Stan Ducha” – młodzieżowy dodatek literacki biuletynu „Manifestacja Gliwicka” – wyszedł w roku 1982 trzykrotnie: 17 maja, 17 czerwca i 17 września. Z pierwszego numeru przepisujemy w niniejszym tomiku następujące teksty: „Sinus”, „Nie wciągać młodzieży”, „Hydropancery”, „Stan Ducha”. Z drugiego: „Kreda”, „To także młodzież”, „Węże”. Z trzeciego: „Rodzinny spacer” i „Z prasy legalnej”. Opowiadanie „Dziadek Mróz” ukazało się najpierw w antologii „Reduta Śląska”, WAGO Gliwice, 1982. Pozostałe teksty wychodzą po raz pierwszy w wydaniu zeszytowym: „Drobny incydent”, „Groteskowe czasy”, „Obibok”, „Siedem argumentów”, „Podwójna składka”, „Germanizacja”, „Donikąd”.

Wydawnictwo Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej przy Gliwickiej Delegaturze RKW NSZZ „Solidarność”. Gliwice, marzec 1983 r. Nakład 1.000 egz. Cena 50 zł.

„Stan Ducha”. Informacja o prawach autorskich

„Stan Ducha” należy do domeny publicznej (*public domain*), gdyż z tą myślą był publikowany w stanie wojennym. Podobny status zachowuje niniejsza publikacja internetowa, co zostało potwierdzone w roku 2012 przez wszystkich autorów i redaktorów, którzy przyczynili się do podniesienia naszego „Stanu Ducha”.

Pod pojęciem „przynależności do domeny publicznej” rozumiemy tu ogólną i nieodwołalną zgodę na publikowanie „Stanu Ducha” w całości, a także w wyborze pojedynczych opowiadań lub fragmentów – zawsze z podaniem źródła. Jeżeli jednak przemawiają za tym względy artystyczne lub inne uczciwie uzasadnione: podanie źródła nie jest konieczne. Pojęcie „domeny publicznej” obejmuje tu kraj i zagranicę, język polski i obcy oraz publikowanie na dowolnych nośnikach materialnych i wirtualnych. Zakazane jest powielanie lub jakiegokolwiek inne wykorzystywanie utworu w celach niegodnych.

Konspiracyjny sposób istnienia „Stanu Ducha” sprawił, że niektóre teksty występują w kilku wersjach, niekiedy skróconych lub niestaranych. Tylko wersja niniejsza – przejrzana przez autorów i poprawiona – wchodzi do domeny publicznej.

Przypisy

¹ Encyklopedia Solidarności. Opozycja w PRL 1976-1989, t. I i II, Stowarzyszenie Pokolenie, Oficyna Wydawnicza Volumen, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010 i 2012.

² Jarczewski A., Trzy garnitury Gliwickiej Delegatury NSZZ „Solidarność”, [w:] Tracz B. (red.), Władza, polityka i społeczeństwo w Gliwicach w latach 1939-1989, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, Muzeum w Gliwicach, Katowice-Gliwice 2010, ss. 218-241, aktualizacja na stronie: www.ajarczewski.republika.pl

³ Sikora M., Środowisko akademickie Politechniki Śląskiej jako „obiekt” zainteresowania SB, [w:] Dziuba A. i Sikora M. (red.), Myśl na uwięzi. Kontrola operacyjna środowisk akademickich województwa katowickiego przez Służbę Bezpieczeństwa. Studia i szkice, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, Katowice 2010.

⁴ [Reduta Śląska. Poezja wojennej zimy](#), Wydawnictwo Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej, Gliwice 1982.

⁵ [Stan Ducha](#), Wydawnictwo Akademickiej Grupy Oporu Politechniki Śląskiej, Gliwice 1983.

Nota do wydania z roku 2012 (w powieści pt. „[Selma](#)”)

Tekst „[Stanu Ducha](#)” przepisuję z wydania zeszytowego bez zmian z drobnymi poprawkami redakcyjnymi. W marcu 1983, w domu Andrzeja Pusza tę książeczkę przez trzy dni drukował na ramce i zszywał zespół WAGO w składzie: Jarosław Cyrankiewicz, Krzysztof Cegielski, Piotr Jankowski i Henryk Metz. Było to możliwe dzięki życzliwej zachęcie, organizatorskiej pracy i szkoleniom drukarskim, prowadzonym przez Spokojnego, czyli Tadeusza Drzazgowskiego, szefa Gliwickiej Delegatury NSZZ „Solidarność”. Z pierwodruku skanuję rysunki: „Węże” i „Partia prowadzi donikąd” – grawerowane wprost na matrycy białkowej przez studenta architektury Witolda Gabrysia. Winiety i okładki projektował nam dr Krystian Stangel z architektury, a sinusoidę wydrapałem na matrycy sam (teraz to rysuję myszą).

Zeszytowe wydanie „Stanu Ducha” urywa się puentą przypadkową, bo w planie był druk następnych tomików. Młodzi przyjaciele przygotowali nawet trochę materiału, a sporo ciekawych akcji czekało dopiero na opis. Byli bardzo dzielni i gotowi stawić czoło każdemu wrogowi zewnętrznemu. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że zagrożenie stanowi nie tylko komuna, ale i coś, co – niezależnie od ducha – wrze w każdym ciebie. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba i już się, jako grupa, nie podnieśli.

Nagle się okazało, że między MY a ONI jest nie tylko kamień. Że cały świat! I że ten świat ma strony nie dwie, ale co najmniej plus minus nieskończoność. To mogłem opisać dopiero trzydzieści lat później („[Korki](#)” i „[Zjazd](#)”). Z kolei fragmenty „[Xięcia](#)” publikowałem w czasopiśmie w latach 2002-2009 z prośbą do czytelników, by sprostowali lub uzupełnili najważniejsze informacje. W połowie roku 2012 życie dopisało zaskakujący epilog. Na koniec „CDN” słabym głosem zapowiada niepewny dalszy ciąg. Z ostrożności procesowej napomykam jednak, że w tej opowieści wszystko jest fikcją z wyjątkiem... faktów (a i to bez gwarancji!).

Redagowanie „Stanu Ducha” w roku 1982 zacząłem od ustalenia formy, która miała utrudnić bezpiecze dotarcie po nitce do kłębka; autorzy „wsadu” musieli się z tym pogodzić. Przeważały więc opowiadania stylizowane tak, by gasły sygnały rozpoznawcze. Dziś można ujawnić więcej, ale cały „SD” sam w sobie stanowi już formę zamkniętą i dla owego „więcej o stanie wojennym” należało zaryzykować poszukiwanie form innych, sinusoidalnie skonstrastowanych z „SD”, właściwszych w epoce multitaskingu.

Na dalszych stronach kontynuuję opowieść w zmiennych tempach i tonacjach. Pewną ostrożnością musiałem tylko otoczyć osoby, gdyż uczestnicy tamtych wydarzeń nie bardzo by się chcieli obnażać. Nie zrobili nic złego. Przeciwnie. Żywię do nich najwyższy szacunek, ale miewamy w życiorysach karty, o których lepiej niech żony nie wiedzą, o matkach niech nie wiedzą dzieci i dopiero późne wnuki niech słuchają o dziadkach. Narody też miewają w swojej historii karty, zapisane – z różnych powodów – niewyraźnie. W Polsce są to lata osiemdziesiąte XX w. Tyle się wtedy działo, a ślad w literaturze? Funkcjonalna nieobecność! Książki oczywiście są, ale ich nie ma. Nie mogę też korzystać z wiedzy domniemanej młodego czytelnika, więc sprawy elementarne opiszę bez „artystycznych” niedopowiedzeń, a fakty obuduję podręcznikowym kontekstem, co grozi dziełem wielotomowym, choć może jeszcze nie teraz:-)

Mówić o stanie wojennym, póki żyją świadkowie! Później będzie za późno na popapraffki. Pytaj zatem nie tylko o prawdę, ale i o prawo do prawdy, i o czas na prawdę, i o to, kto kogo właśnie przesłuchuje. Dostępne w IPN-ie donosy na bohaterów nie powinny być wydane na żer gawiedzi w takiej formie, w jakiej spisali je szpicle i oprawcy, bo to nie będzie prawda. Goły człowiek, odarty zdradą i przemocą, nie jest prawdziwszy od odzianego! Toteż opis faktów został tu ubrany tak, żeby był bliższy prawdy o stanie ducha niż gołe fakty. A ci czytelnicy, którzy rozszyfrują tę szaradę, niech – proszę – nie cofają się przed interpretacją, ale też niech się zbytnio nie śpieszą, bo najważniejsze jeszcze daleko przed nami...

cd.: [Andrzej Jarczewski, „SELMA”](#)